

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDLA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 28 LISTOPADA 1915

NR. 18.

W NOC LISTOPADOWĄ



Belweder.

Rys. St. Filipkiewicz.



SZLAKIEM ROCZNIC.

Rewizya pojęć, jaką przeprowadza każda wojna wolnościowa, wiedzie do paradoksów stanowiących tezy. Walka o wolność — to walka o byt, o życie, więc żąda życia — *in statu nascendi*, żąda tak rozgrana ukochaniem życia, że w swem działaniu twórczym wiodąca aż w bój, aż na śmierć. Naród chce żyć, więc staje do boju, i oręż, narzędzie śmierci, staje się narzędziem życia, i wojna śmiercionośna ma się stać życiodajną. Aby być wolnym, aby żyć, trzeba przejść przez śmierć.

Paradoks?

— Teza.

Religijna, przyrodnicza, i historyczna.

Tajemnicze prawo przyrody: zagadka życia i śmierci i ich przewartościowanie, ujawnia się w boju wolnościowym w całej swej prawdzie, bo wojna o wolność — to prawda, nie tylko dla tego, że jak każda wojna ujawnia faktyczne wartości, ale że opiera się na naturalnym prawie życia.

A jego mistrzyni, historia, ustaliła już dogmat zdobywania wolności orężem.

Walka o wolność — to hymn na cześć życia, mający wprowadzić je w zakończeniu, hymn spowity dymami ofiarnych rzezi, dzwoniący spżem armat, rozgryany poświętem kul, podniebny jękami agonii, rozmodlony kultem śmierci.

To hymn, który się rozpoczyna pokropieniem krwią, a gdy go przerwać, wchodzi w krew i przez krew się dziedziczy.

To hymn — feniks.

W noc listopadową bagnety belwederczyków zbudziły ten hymn.

Chcemy żyć! — zadzwęczał spż śmiercią i na polach bitew szał życia, rozkosz i cud, po wolny byt pobiegły na zgon.

Rozegrały się struny zmartwychwstania, rozbłysła radość jutra, aż głos silniejszy, głos potężniejszy zagłuszył pieśń-czyn. Przerwano struny, pozostał jęk...

Długo konał, zamierał powoli, aż hymn — feniks w śnieżycach styczniowych zakwitł na nowo wiosną pragnień — by znowu zmiłknąć przed czasem.

...I tylko w pokoleniach dziedzictwem krwi gruntował się głód życia...

Aż zrodził Legiony.

Drugi rok stoją one w polu, drugą już rocznicę Listopada obchodzą z bronią w ręku. I po rozłogach śmierci dzwoni znów spżowy hymn na cześć życia, ten sam co niegdyś, co poczał się u zgonu wolności, tylko dziś pogłębiany dziedzictwem tęsknot, pragnień — i niewoli.

Legiony — to głos krwi, Legiony w polu — to wolność wyzwalana, to życie *in statu nascendi*.

Przez głód pokoleń dziedziczył się hymn życia najistotniejszą treścią, krwią; musi z żył upłynąć życie, by się ucieleśniła idea życia.

Paradoks? — Prawda, przewartościowana przez prawdę wojny.

Legiony w polu! — chcemy żyć!

Radość bytu stała bagnatów kuje czerwoną drogę niszczenia, śmierć rzuca posiew bytu, luny pożogi stają się świtami, jęki zgonu kołębą zmartwychwstania... odwieczna zagadka życia i śmierci.

Od szeregu dni Legiony stoją w polu i dzień każdy znaczy się tąsamą pieśnią; tąsamą treścią znaczyły się nam dni i każdy dzień był nam rocznicą.

Chcemy żyć! — Śmiercionośny hymn życia brzmiał nam nie dniami, lecz przez lata. Nam lata rocznicami, nie dni.

Legiony święcą drugą rocznicę lat i aby naród żył — idą na śmierć.

Jan Grzywiński.



W ROCZNICĘ 29 LISTOPADA 1830 R.

FRAGMENTY DO ŻYCIORYSU PIOTRA WYSOCKIEGO.

Popularną stała się postać instruktora Szkoły podchorążych, Piotra Wysockiego, belwederczyka, który w pamiętny wieczór listopadowy 1830 r. odezwał się do kolegów w te słowa: „Polacy! godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężym albo polegniem, nadstawmy piersi naszym wrogom, aby były dla nich Termopilami“.

Tejże nocy ośmnastu cywilnych spiskowych pośród których znajdował się poeta Seweryn Gószczyński, pod wodzą Ludwika Nabelaka, uderzyło na Belweder, gdzie mieszkał W. Ks. Konstanty, a 160 podchorążych z Wysockim na czele natarło na koszary pułków gwardyi konnej na Solcu.

To był początek powstania, ułożony i ostatecznie postanowiony w pamiętnej rozmowie z d. 21. listopada, w bibliotece Tow. Przyjaciół nauk pomiędzy Piotrem Wysockim, Bronikowskim, Zaliwskim i Lelwelem, który był wówczas bibliotekarzem Towarzystwa. — Wspomina o niej Aleks. Kraushar w dziele swoim o Tow. Przyjaciół Nauk.

Już dzień byłznaczony a role rozdane, kiedy Mostowski, minister spraw wewnętrznych i policji, zapytany przez W. Księcia o mającym wybuchnąć powstaniu, kategorycznie odpowiedział: „powstania nie będzie i być nie może, chyba, żeby wzięło początek z wojska, a tam policja moja nie sięga“ — lecz Konstanty zaręczał, jak zawsze, że jest pewny wojska, bo duch w armii jest doskonały. Działo się to rano 29. listopada, pisze w swoich pamiętnikach

Władysław Zamoyski, który od r. 1828 był adjutantem W. Ks. Konstantego.

Hr. Zamoyski, w chwili wybuchu rewolucyi, o której wiedział, znajdował się w domu, w pałacu Błękitnym na placu Bankowym. Osobiście powiadał go o pierwszych wypadkach kapitan Bezobrazow, jeden z adjutantów W. Księcia. Wsiadłszy na koń, Zamoyski pojechał w stronę Belwederu.

Gdy dojechał do Alei Ujazdowskich, między kościołem św. Aleksandra a Belwederem — pisze Zamoyski — znalazłem W. Księcia otoczonego licznym sztabem. Na polu przy alei stał pułk Kirasyerów gwardyi moskiewskiej, za nim ułani i huzarzy tejże gwardyi i strzelcy konni gwardyi polskiej, wszyscy razem stanowiący dywizję gwardyi i kilka kompanii piechoty polskiej. — Gdy zsiadł z konia i zbliżył się, W. Książę przywitał mnie z widocznym zadowoleniem i rzekł: „wiesz, napađnięto na mnie, Gendre zamordowany“ i zaraz potem: „co się w

mieście dzieje?“ Władysław Zamoyski musiał kilkakrotnie jeździć do miasta i informować Konstantego o tem, co się tam dzieje... a co się działo, wiemy. Przywiózł nawet księciu radę od generała Stanisława Potockiego, aby użyć zaraz kawalerji i nią ulice zmiatając, miasto opanować. Książę jednak patrząc na Kirasyerów, rzekł: „To są Rosyanie, a żaden Rosyanin o ile do tego we własnej obronie nie będzie zmuszony, nie wy-



strzeli, nie użyje pałasza w całej tej sprawie. Zbrodnia po waszej stronie, ja do niej przyłożyć ręki nie chcę; przyszli mnie zamordować w moim domu, zarabali mego pierwszego adjutanta. To wojsko tu stoi, by mnie zasłonić od nowego napadu, lecz jeżeli się kto zbliży,

szkał już wówczas na osiedleniu i prowadził fabrykę mydła a dochody obracał na wspomaganie ubogich, więźniów i towarzyszy.

„Przez izbę, w której czeladź siedziała przy stole, poprowadził mnie Wysocki do obszernego pokoju. Stół,

*Proszę przyjąć w prezencie tegoż szanownego
mnie na jubileusz naszego przetrwania*
Dnia 23 kwietnia 1859 roku
M: Warka

Piotr Wysocki

no, to stąd ustąpimy. Żaden Rosyanin nie wmiesza się w tę sprawę. Polacy ją zaczęli, niech się sami między sobą rozprawią. Teraz się pokaże, czy zasłużyli na tyle dobrodziejstw“.

Dnia tego generał St. Potocki, ulubieniec wojsk, padł śmiertelnie ranny na Senatorskiej ulicy, o kilkadziesiąt kroków od pałacu Zamoyskich. Podzielił los generałów Trembickiego i Blumera oraz pułkownika Siemiątkowskiego za to, że nie chciał stanąć na czele zbuntowanego oddziału piechoty. Przez krótkie pozostałe mu chwile z gorzką boleścią narzekał na zapamiętałość, która przyprawiła go po tylu bojach z nieprzyjacielem, o śmierć od kuli polskiej. Rozdzierający był widok tego męża, tyle zasłużonego i cenionego, gdy opłakiwał nie to, że życie traci, ale że polska wydziera mu je ręka. Tyle Zamoyski.

Zbierając materiały dotyczące życia i działalności Piotra Wysockiego, pojedyncze fragmenty umieszczałem w „Tygodniku Ilustrowanym“. Obecnie mam przed sobą książeczkę miniaturową o bardzo drobnym druku, wydaną w Paryżu, bez daty, z treści jednak widać, że drukowana była po wojnie francusko-niemieckiej. Tytuł: „Pamiętnik Piotra Wysockiego o powstaniu 29. listopada 1830“. Tomik pierwszy napisany przez Leonarda Rettel, daje całokształt prac związku podchorążych i opis wybuchu nocy belwederskiej. Tomik 2-gi zawiera ustęp ze wspomnień Agatona Gillera o Piotrze Wysockim na Syberji, wreszcie od str. 10 *Pamiętnik Piotra Wysockiego*, zatytułowany pierwotnie: *Wiadomości o tajemnym Towarzystwie, zawiązanem w celu zmienienia rządu i ustalenia swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskiem, oraz działanie wojenne szkoły podchorążych, piechoty, w nocy z d. 29. na 30. listopada 1830*. Artykuł ten napisany w Warszawie d. 9. grudnia 1830 r. podpisany jest: Piotr Wysocki, podporucznik wojsk polskich.

Biorąc książeczkę do ręki, miałem chwilowo złudzenie, że może znajdę tu pamiętnik Wysockiego, który gdzieś zaginął. W roku 1906 jeździłem do Warki, w Królestwie Polskiem, gdzie Wysocki zmarł d. 6. stycznia 1875 r. Widziałem dom, w którym mieszkał, rozmawiałem z niejaką Tabaczyńską, długoletnią gospodynią Wysockiego, która wspominała o tem, że pan dużo pisał, ale pamiętnika, do którego pułkownik odsyłał wszystkich pytających się o dzieje 1830 r., nie znalazłem, ani u obywatelstwa okolicznego, ani w bibliotekach naszych. Zaginął...

W omawianej książeczce Agaton Giller opowiada o byt swój w Akatui u Piotra Wysockiego, który mie-

kilkanaście krzeseł, łóżko, książki na drugim stole i w szafce, oto umeblowanie tego pokoju. Przyjęty i uściskany byłem jak syn przez ojca. Piotr Wysocki jest jeszcze człowiekiem w sile wieku, wielkiego wzrostu, barczysty, postawa wyprostowana, wojskowa, szaryn, oko bystre, błękitne, nos duży, czoło małe, a wyraz twarzy wojowniczy i pełen miłości. Głos ma potężny. Pytał się troskliwie bohater 29. listopada o Polskę, o usposobienie ludności, wyrzekał, że ginie duch wojowniczy, że młodzież nie zna służby wojskowej.

„Wysocki nie znał opisów powstania 1831 roku, wyszłych na emigracji. Czytał mi, pisze Giller, swoje prace, które także zawierają opis 29. listopada. Prace te, bardzo ciekawe, rozpoczynają się od opisu rejterady Francuzów z Moskwy przez Polskę w 1812 r., opisu wielce zajmującego. Przy czytaniu ustępu, w którym opisuje jak na placu Marsowym Łukasińskiemu i dwóm jego kolegom szliły zrywano i wyrok czytano, stary Wysocki zaszlochął i ja za nim zapłakałem. Dowodzi on, że nie ucisk Konstantego, nie prześladowania, gwałcenie konstytucji, wywołało powstanie, lecz p o t r z e b a niepodległości narodu. W pismach swoich zbacza Wysocki często od przedmiotu, wdając się w historyczne dociekania lub filozoficzno-polityczne rozumowania. Niemców uważał za niebezpieczniejszych dla nas niż Moskali; nie nazywa ich Niemcami lecz D a j c z e r a m i i ze smutkiem przypominał, ile to już milionów Polaków nad Elbą i Odrą mieszkających wy-narodowali“.

Wysocki w powstaniu dosłużył się rangi pułkownika. Raniony pod Wołą dostał się do niewoli i trzymany był w więzieniu w Warszawie przez 3 lata. Wyrok otrzymał na śmierć. Sąd namówił go, żeby podał do Mikołaja prośbę o ulaskawienie, ręką za dobry skutek... Wysocki kazał sobie przynieść papier i atrament, lecz zamiast prośby napisał te słowa:

„Nie dlatego broń podjął, ażebym prosił cesarza o łaskę, ale dlatego, żeby jej mój naród nigdy nie potrzebował“.

Pomimo tej odpowiedzi nie został stracony i Mikołaj karę śmierci zamienił na ciężkie roboty w Syberji. Przeznaczony był do Aleksandrowska pod Irkuckiem. Tam, pod jego przewodnictwem, kilku Polaków w 1836 r., palając żądzą oswobodzenia się, ułożyło p l a n u c i e c z k i przez Syberję, góry Altajskie, Turkiestan do Indji, skąd chcieli na statkach angielskich dostać się do Europy. Do tej śmiałej wyprawy należeli oprócz Wysockiego, major saperów Franciszek Malczewski, ks. Jan Bogański, ks. Wincenty Kroczewski, Hipolit Kownacki, An-

toni Luboradzki, młodzieniec 18-letni, syn wojownika Klemensa Luboradzkiego, poległego pod Rajgrodem w 1831 r. i wreszcie niejaki Kasperski, którego wzięli z sobą, nie wiedząc, iż za złodziejstwo i rabunek w czasie pożaru Lublina, a nie za polityczną sprawę dostał się na Syberyę. Kasperski, na brzegu Angary wysłany dla wyszukania łódki, zdradził wszystkich. Przykuto ich na długi czas do tacek i długo w Irkucku badano i sądzono, wreszcie zapadł wyrok, skazujący na przeniesienie do kopalni nerczyńskich w Akatui i Wysockiego na 1000 kijów, ks. Bogańskiego na 500 kijów, innych na chłostę różgami. Kasperski za zdradę swoją nie otrzymał żadnej nagrody. Wysocki przykuty był do taczki przez 2 lata, a później wolno już mieszkał w Akatui,

Wiele czasu poświęcał Wysocki, wspomina Giller, czytaniu i nauce. Na jego stole zastał opisanie geograficzne Polski i moskiewski konwersacyjny leksykon.

Na 29. listopada koledzy z odległych stron nerczyńskiego wygnania, zdążyli do Akatui i tu pamiętną rocznicę, w mieszkaniu Piotra Wysockiego uroczyście spędzali. Uwolniony z Syberii w r. 1857, pozostawił w Akatui jaknajlepsze wspomnienie. Kazano mu zamieszkać w mieście rodzinnem Warce, z której nigdzie wydalić mu się nie wolno było. Tu, za pieniądze złożone przeważnie na emigracy i na Wołyniu, kupił ziemię i na niej pracując, żywot swój zakończył. Leonard Rettel wspomina, że Wysocki w liście do przyjaciela pisał, że skoro przybył do Warki, książe Górczakow przysłał do niego jednego z wyższych oficerów żandarmeryi z poleceniem, iż mógł podać prośbę do cesarza o udzielenie mu dożywotniego funduszu na utrzymanie, ale podziękował za tę radę, a sam zdał się na Boga i łaskę rodaków.

Wysocki miał dużo energii i serca, nie był to jednak umysł wyższy, nie był człowiekiem nauki. — Pamiętniki jego mogły mieć wielką wartość, ale historia Polski, którą pisał, jak mówili ci, którzy mieli jakieś urywki tej pracy w rękach, była traktowana bardzo naiwnie bo zawierała opowieści o Popielu, myszach itp. rzeczach.

Po przybyciu do Warki koło 1859 r., na mocy ogólnej amnestyi Aleksandra II, Wysocki zajął się przeniesieniem resztek zwłok balsamowanych z opuszczonego kościoła po-dominikańskiego, do podświetlenia kościoła po-franciszkańskiego i na marmurowej tablicy, umieszczonej na froncie tego kościoła napisał, że to zwłoki książąt Mazowieckich Trojdena i Ziemowita, jest to bajka, gdyż ani jeden ani drugi w Warce chowany nie był.

Pytany, skąd wiadomość tę czerpał, odpowiedział: „tak mi się zdawało“... Ci, co go znali i mieszkali w Warce opowiadają, że życie prowadził bardzo skromne, a nawet biedne, często na czarnym kawałku chleba przestawał; powodem tego była owa gospodyni Tabaczyńska, która literalnie wszystko co posiadał zabierała, na-



wet pieniądze, nadsyłane pocztą. Posiadał przecież mały folwarczek, około 40 morgów gruntu, dom i zabudowania gospodarcze w Warce, nabyty dla niego z funduszów składkowych, czem zajmowali się obywatele okoliczni: Kiciński z Lechowic i Suski z Lasek. U rodziny Suskich przechował się nawet list Wysockiego, w którym dziękuje za pamięć i starania, o to, żeby miał kąt dla siebie. Koniec tego listu z podpisem i datą daje jako facsimile.

Podczas powstania popularność Piotra Wysockiego

była już duża, dowodem są liczne jego podobizny, utwory muzyczne jemu dedykowane i owacy na jego cześć czynione. Nie nazbyt wielką popularność ale raczej jego krewkość i to, że należał do klubistów krzykliwych, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli do czerwonych, sprawiły, że żywiły umiarkowane, w samym początku rewolucji wysłały go z pewnym oddziałem wojsk do Rudy pod Skierniewicami, byle się go pozbyć z Warszawy.

Pierwszą niedzielę, po wybuchu powstania, d. 5-go grudnia r. 1830 Warszawa obchodziła uroczyste, bo w dniu tym pojawiło się orędzie Chłopickiego do Narodu, w którym oświadcza, „iż na dni krótkie, t. j. do zebrań się Izby Sejmowych, bierz na siebie urząd dyktatora, za otworzeniem zaś Sejmu urząd ten w ręce owego złoży”.

Obie izby sejmowe zwołane były na 18. grudnia. Dyktator, objawszy to dostojęństwo, o 1/2 do 4 po południu udał się konno na pole Marsowe, na którym stały wszystkie wojska obecne w Warszawie tudzież gwardye narodowe. Donosi o tem „Kuryer Warszawski” z r. 1830. Nr. 327.

Tego dnia grano w Teatrze Narodowym „Kra-kowia-ków”, śpiewano nowe strofy, zdaje się układu Franciszka Dmochowskiego, niektóre z nich podaje ówczesny „Kuryer”. Od pięciu lat nieobecny na scenie D m u s z e w s k i ukazał się w stroju narodowym, śpiewał:

Wszystkich rodaków wzywacie
W wojenne szeregi,
A więc przyjmij oręż, bracie
Dawnego kolegi.
W Bogu nadzieje składamy —
Walczmy przyjaciele,
Wszakże Chłopickiego mamy
Na Polaków czele.

Poczem ukazały się chorągwie, połączone prowincye dawnej Polski, przy których P i a s e c k i deklamował wiersz okolicznościowy do „Młodzieży Polskiej”, napisany przez nieznanego autora a jak się później okazało, Fr. Dmochowskiego. Po zapadnięciu zasłony publiczność śpiewała „hymn ojczyzny”... parter zamienił się w salę balową, tańczono długo mazura i krakowiaka... Publiczność w tryumfie wzniosła porucznika P i o t r a W y s o c k i e g o, który wspólnie ze szkołą podchorążych należał do pierwszej walki d. 29. listopada. Również przedmiotem owacy w Teatrze Narodowym w d. 7. grudnia byli: Wysocki, kolega jego porucznik Szlegl, hr. Roman Sołtyk i pułkownik L e d o c h o w s k i.

Popularność Piotra Wysockiego była wielka. Zażądano od niego opisów nocy belwederskiej i uprzednich narad, które ukazały się z jego podpisem w dodatku do Nr. 335 *Kuryera Warszawskiego* z r. 1830 i w Nr. 357 *Kuryera Polskiego* z tegoż roku.

O poglądach Niemcewicza, pisze Wysocki: młodzieży wiedziała jeszcze z czasów sądu sejmowego, że n a w o l y w a ł d o c i e r p l i w o ś c i, a co do projektowanego obecnie wybuchu odpowiadał: „teraz nie czas jeszcze, ale nadejdzie pożądana chwila!”

Wysocki twierdzi zgodnie z opinią późniejszych badaczy, że o ile uroczystości koronacyjne cesarza Mikołaja I na króla polskiego i obrady sejmowe uśmierzyły żywiły gorętsze, o tyle znowu rewolucya lipcowa w Paryżu dodała im bodźca...

Dowodem popularności Piotra Wysockiego jest postawienie jego nazwiska obok Joachima Lelewela, pomiędzy redaktorami *Nowej Polski*, dziennika polityczno-naukowego, który rozpoczął wychodzić d. 5. stycznia r. 1831. Młodzi w „Nowej Polsce” rzucili się na powagi narodowe i ich cierpliwość, względnie bezradność w polityce, oplwali nawet Niemcewicza. Wywołało to interpelację w Izbie poselskiej. W odpowiedzi Lelewel oświadczył, że ani jednego artykułu do „Nowej Polski” nie napisał, kazał się z listy redaktorów wykreslić, tak samo postąpił i Piotr Wysocki.

Portrety litograficzne walecznego porucznika, już pod koniec r. 1830 znajdowały się do nabycia w sklepie Magnusa w Warszawie.

W bogatym zbiorze rycin w Muzeum Czapskich w Krakowie, znalazłem kilka portretów Piotra Wysockiego. Jeden drzeworyt przedstawia Wysockiego w mundurze z ręką prawą wyciągniętą do góry; inicjały rysownika F. R. odbite w Instyt. Litogr. Szkolnej. Drugi drzeworyt przedstawia porucznika w tej samej pozycji, rysował I. N. Bizański, odbite w litogr. P. W. w Krakowie. Podpis pod popiersiem: Piotr Wysocki (29 listopada 1830). Trzeci rysunek z natury I. N. Zylińskiego, odbity w litografii T. Vivier'a z Warszawy. Czwarty przedstawia Wysockiego w mundurze i stosowanym kapeluszu na głowie. Robota litograficzna de Villain, podpis Pierre Wysocki i podobizna autografu Wysockiego. Piąta wreszcie rycina przedstawia Wysockiego na tle domów Warszawy. Wysocki w mundurze i stosowanym kapeluszu, przy szpadzie u boku, lewą rękę trzyma wzniesioną ku górze a prawą ujął towarzysza. Pod ryciną nikły napis: Piotr Wysocki z dnia 29. listopada oraz wyraźny litograficzny napis francuski Pierre Wysocki dans la Journée d. 29. 9-bré 1830. Załączone dwie podobizny są mało znane: popiersie Wysockiego roboty Zylińskiego, z natury i epizod na ulicy Warszawy; najpopularniejsza podobizna przedstawia Wysockiego w mundurze i stosowanym kapeluszu.

Pamięć o Wysockim dotychczas żyje w Warce — o grobie jego, starannie utrzymanym, stale pamiętają miejscowi robotnicy.

W wyżej przytoczonych pamiętnikach Wł. Zamoyckiego w tomie I. na str. 440 czytamy: wybuch 29/XI wyniknął niewątpliwie z ciężkich krzywd narodowych, ale bunt w wojsku był dziełem niedowarzonej mniejszości w wojsku. Niemcewicz zaś twierdził: „teraz nie czas jeszcze, ale przyjdzie pożądana chwila”...

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa w pamiętnikach swoich pisze po kapitulacji Warszawy te pamiętne refleksje: „rewolucya nasza była w myśli, w sercu oświeczonego narodu ale nie była myślą ogółu. Rewolucya nasza nie była znową znakomitych, bo mało kto o niej wiedział. Rewolucya nasza nie była nawet buntem wojska, bo kilkudziesięciu oficerów i podchorążych nie stanowią wojska. Rewolucya więc nasza była czynem wielkim, śmiałym ale prawie szalonym. Zapaleńcy, którzy nic nie działali i działać nie umieli, pisali tylko rewolucyjnie; zimni, rozsądni, rzecz całą prowadzili... Stąd powstała niezgodność w zdaniach i czynnościach... Trzeba nam było w rządzie człowieka z rewolucyjną chęcią Lelewela, z głową Lubeckiego, z Czartoryskiego imieniem i sercem. Trzeba nam było w wojsku człowieka z żądzą niepodległości Wysockiego, z talentem i sławą Chłopickiego. Trzeba nam było posłów z nienawiścią... Niemojewskich, z rozsąd-

kiem Świdzińskiego. Ale na nieszczęście rewolucya nasza jednego nie znalazła, nie utworzyła wielkiego człowieka... należało wiedzieć, czy żądamy niepodległości, czy tylko pewnych koncesyj i układów... robimy jeden krok w lewo, drugi w prawo, jeden naprzód, drugi w tył, trudno było zajść daleko... Zgubiło nas, że nie ci

prowadzili rewolucyę, którzy ją poczęli a raczej, że ci którzy ją poczęli nie byli w stanie prowadzić...“

Takie są sądy tych, którzy widzieli boje 1831 r., którzy działali według sił i możliwości, którzy kochali Polskę i niepodległość. Był to czwarty bój o wolność narodu.
Dr. Mieczysław Offmański.

BOGUSŁAW BUTRYMOWICZ: KRZYŻOWE DROGI.

I.

Gdzieś na sybirskim stepie, w śnieg wetkany,
Sterczy ku sinym nieb metalom Krzyż,
A na nim Chrystus. Wśród śmiertelnych cisz
Styszysz, jak skarżą się otwarte rany:

„Ołom był cichy, nędzny i oplwany,
A powleczony jak zbrodniarz na krzyż
I serce rozdarł mi żoldacki spiż
I gorszy nadeń krzyk tłuszczy pijanej,

Abyś uczynił z nimi miłosierdzie...
Czemu więc karzesz?... Żali więcej chcesz?...“

Tak na sybirskim stepie, gdzieś pod nieb
Metale, sterczą groźne krzyża żerdzie,
Krwiań ocieknięte miłości, zaś rzesz
Zbłąkanych rozpacz wichrem gna przez step:
„Czemu wciąż karzesz?...“

II.

Dziś wystraszonym wzrokiem w dal patrzymy
Po pustym, szarym stepie,
Którym nam trzeba iść w obłokach zimy...
Wiedzie nas gwiazda błędna — wilków ślepie...

Stańmy!... Oparci na krwawym oszczepie,
Możemy spocząć... Nie!... gonia nas dymy
Zgliszcz i krew przyschła na arki czerepie.
Przy którym cicho spią smętne olbrzymy...

Olbrzymy Złudy!... Dzieci Złudy — karły
Włoką się glucho ku śmiertelnej zorzy —
Drzwiom, które świat im odemkną umarty...

Pustkowie... Słońce bezpromienne nad niem.
Szara, litosną płachtą się rozłoży
Na nas, gdy zegnem kolana i padniem...

III.

... Nam trzeba
Wszystkim odbywać sybiryjską drogę
I nieść na barkach Trud, Żalność i Trwogę,
Ciągłe wyglądać — nigdy nie mieć nieba.

... Nam trzeba
Duszą się nurzać w piekielną pożogę,
Wslęcz o dni wiele... i o zapomogę
Żebrać, wściektemi usły krzyczeń: „Chleba!“

... Nam trzeba
Przez wszystkie nędzy nieznośnej przejść szczeble
I śniedź zieloną zbierać w każdym ździeble
Zboża, którem nas twarda darzy gleba.

... Nam trzeba
Ciągłe wyglądać, nigdy nie mieć nieba...

W listopadzie 1915.





„Warszawianka”.

Rys. Stanisław Wyspiański. (Ze zbioru Włodzimierza Żuławskiego).

ORGANIZATOR NARODOWEJ WYOBRAŹNI.

(WÓSMĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO).

Zjawił się w czasie, kiedy dusza polska oszołamiała się narkotykiem, który nazywano dekadentyzmem, albo modernizmem, a który nazwaćby należało: artystycznym alkoholizmem, ponieważ pozwalał zapominać o nędzy narodowego bytowania, a równocześnie o powszednim chlebie obowiązku.

Urodził się u stóp starego zamku-symbolu, zamku-grobowca, gdzie spała w trumnach królewskich wielkość, której żywi lękali się zbudzić. Wychował się w szkole mistrza Matejki, który dawał narodowi „malowane dzieje”, w braku dziejących się naprawdę.

Albowiem naród był jak człowiek stary, co żyje już

tylko wspomnieniem, a wkrótce żyć przestanie. A słowo Polska — znaczyło: wczoraj, dawniej; czasem dodawało się: i kiedyś, jutro... ale już coraz rzadziej i coraz ciszej. A „dziś” nie istniało zgoła.

Naród się zgubił.

Dlatego pisało się: „na początku była chuć”... i mówiło się, że sztuka tylko jest bytem prawdziwym.

Sztuka-narkotyk: bo pozwalała zapomnieć, „zapomnieć-zawinić”.

Nazywało się to „Życiem”. *Eviva l'arte!*

Wtedy przyszedł człowiek, który każdym ruchem pendzla, każdym słowem uczył, czym jest sztuka.

Wspiański jest wcieleniem Norwidowej definicji — postulat: „Narodowy artysta organizuje wyobraźnię, jak, na przykład, polityk narodowy organizuje siły stanu“. Jest stwierdzeniem, że twórczość, to nie *chimeryczna* ucieczka przed życiem, ale rzemiosło i modlitwa zarazem. Jego organizujący narodową wyobraźnię geniusz władnie wszystkim: począwszy od czcionki drukarskiej — skończywszy na tworach narodowej mitologii, bohaterach legendy i postaciach historii, na wcieleniach narodowych tęsknot i bólów.

Więc nie dziw, że skoro się zjawił, naród oczekiwał od niego wieszczych słów, że upatrzył w nim spadkobiercę — Trójcy romantycznej.

I on sam o mało nie uległ tej narzuconej sobie roli. Ale ocknął się i wyzwolił. „Wyzwolenie“ — to dramat rozgrywający się między artystą a narodem — domagającym się proroka. Zwycięza poeta, „Wyzwolenie“ — jest przede wszystkim wyzwoleniem artysty, a potem wyzwoleniem poezji polskiej od myśli zbawicielskich.

Wspiański — ideolog, Konrad „wyzwolony“ z własnej romantycznej przeszłości, której nic przeciwstawić nie umie, niczem zastąpić nie może, ponosi klęskę. Jest Edysem, który zabił ojca, ślepym niewolnikiem sztuki i teatru, wydanym na pastwę Eryunii; zdał sobie sprawę, że nie on naród wyzwoli, ale kto inny, „może wyrobnik, dziewczka bosa“, a wtedy i on będzie wolny od Eryunii.

A tymczasem jest tylko artystą i tylko nim być pragnie. I wbrew wszelkim talmudycznym wywodom wykładaczy pisma, którzy doszukiwali się w „Wyzwoleniu“ ideowego programu dla narodu, dalsza twórczość Wspiańskiego jest tylko sztuką. I dlatego właśnie jest bezcennym pomnożeniem narodowego dobra.

Dlatego nie potrzebował już buntować się przeciw wawelskiej zmurze, symbolizującej przeszłość, dławiącą

„krzyk, coby był nasz, z naszego pokolenia“. On ją przewyciężył artystycznie. „Akropolis“ — to orgia swobody twórczej, w której artysta opanował wszystkie elementy swej wyobraźni, zarówno najbliższe sobie: polskie, krakowskie, wawelskie, wolne już od pokus ideologicznych, jak i ich uzupełnienie greckie, trojańskie, czy biblijne. Dlatego wolno mu było zbratać pierwiastek polski z helleńskim, wprowadzić do „Legendy“ Parki, w „Nocy listopadowej“ ukazać zdumionym widzom bóstwa greckie, jak wolno mu było konika zwierzynieckiego wprowadzić do Troi w „Achilleis“, stylizować bohaterów polskich po grecku, a greckich po polsku, bo obydwie światy są dla niego artystycznie równocennymi grupami elementów wyobraźni.

Więc ten, tak głęboko narodowy, a tak ponadpatriotyczny artyzm sprawił, że udratyzowany Sen nocy listopadowej jest — rozegranem w Warszawie — misterium życia i śmierci, nie tylko scenizacją wybuchu powstania. I kto chce w tej jesiennej symfonii zamierającej przyrody, ożywionej wiosennem technieniem rewolucyjnym, szczękiem polskich bagnetów i olimpijską mową bogiń greckich, szukać ideowej treści, znajdzie ją w dyalogu Kory i Demetry, eleuzyńskiej apoteozie wieczystego powrotu życia.

Wspiański nie był ideologiem, ani „ideowcem“, ale wniknął artystycznie w problemy narodowego bytu, przeżywając je tak głęboko, że każde jego słowo z pośród słuchaczy tworzyło „chór, który mu odpowiadał“ — choć odpowiadał, wbrew jego intencji, żądaniem prorocstwa. Więc i dziś, gdyby był pośród nas, słuchalibyśmy z nabożeństwem jak się przez Jego usta wypowiada dusza każdego z nas: dusza narodu.

Kazimierz Berezynski.



„Warszawianka“, scena końcowa.

ADAM ZNAMIROWSKI: EMILIA PLATER.

AKTU PIERWSZEGO SCENA CZWARTA.

EMILIA PLATER (sama).

Cmentarzami całam rozplakana,
 Rzucająca się miesięczną bielą
 Na mogiły, wieczorną kapelą
 Przerażliwych, błędnych tęsknot śpiewne,
 Snów żałobą ukoronowana
 Na tej smutnej dziedzinie królowe,
 Och tych moich mogił otchłaniami
 W świat patrząca z bezpamiętnym jękiem,
 Rozdzwioniona żalosnym pobrzękiem
 Podków końskich, w nicość ścichającym,
 W noc bezkresną się głucho walącym ...
 O wy cudne rycerskie zastępy,
 Poprzez rozpacz mej ziemiicy mknące,
 By się w ócz mych samotne ostępy
 Zapaść błędnie na nieustające
 Już i święte tam w nich przebywanie ...
 Tak, to moje ukoronowanie
 Na tej Polski żałobną królowę —
 Strasznych światel niezmiernie świtanie
 Niosą ócz mych tkania piorunowe,
 Niosą moich ócz surmy bojowe ...
 Bo tysiącem jam jest pobożowisk,
 Gdzie czerwone księżyce warjują,
 Bom jest grozą ponocnych koczowisk —
 Śniegi ich lam rozpacznie całują,
 O pnie wspartych, z snem się zmagających —
 Całam z krwawych tej Polski widowisk
 Ulepiona w straszliwą legendę — —
 Na objętych pożarami krosnach
 Oszalale szlاندary uprzędę — —
 Zmartwychwstaną w niedalekich wiosnach
 Mej krainy, kiedy ja już będę
 Jeno głuchych ich szumów powiewem,
 Zmagającym się z cmentarnem drzewem,
 Co z mych prochów gdzieś po widnokregi
 Wieków, wieków wydzwignie konary ...
 Otom jeno już snem mojej mary —
 Rzeczywiśta — za mej trumny brzegiem ...

Cmentarzami całam rozgadana,
 Zaludniona przez tych snów tysiące,
 Które duch mój z gliny próchniejące
 Wyniósł, z nocy, co jest rozplakana
 Gdzieś po wieczność hen zagastych oczu
 Przerażliwą, bezkresną tęsknotą ...
 Kwiat tych mogił w moim się warkoczu
 Poślubionym mu zaplątał oto
 I już z świata jam wyprowadzona,
 Wśniona krwawo w nieobjęte losy,
 Pełna jakichś muzyk archanielskich ...

...
 Ot i teraz coś, jak pobrzęk kosy
 Zadzwońiło w pobliżu, w pobliżu
 Cudną wonią traw, piosenek sielskich ...
 Pomnę — Chrystus na przydrożnym krzyżu —
 Dawno, dawno to — jakże się dłuży
 W bezkres, w bezkres gdzieś sina stal kosy
 W oczach pełnych snu — — uim nagłym mrozem
 Żył huczających szatem zgasi płomień,
 Niech pod ostrze jej idą me włosy,
 Po mogiłach je z śmiechem rozrzuce — —
 Gotowamci już — i już nie wróce — —

...
 Już nie wróce, bom jest urzeczona ...
 Urzeczona jest każdym wybuchem
 Krwi na lica, w nicość odchodzące,
 Urzeczona tym strasznym rąk ruchem,
 Co chce zszcześcić z powietrzem półmartwe
 W dół się zimny już walące ciało —
 Tem padaniem jego w pościel białą
 Urzeczona ja, już niewidząca
 Dnia, ja śmiercią onych wszystkich mrąca,
 Podścielona pod ich stopy krwawe
 Rąk ciągnących się ku nim pokora,
 Rąk ciągnących się ku nim modlitwa,
 Ja stająca się wraz cała bitwą,
 Zamieniona w piorunów kurzawę,
 W której oni, podobni upiorom
 W niepojęłość biegną, w bezmiar, w sławę ...





MOCHNACKI W PIERWSZYCH DNIACH POWSTANIA LISTOPADOWEGO.

Pour vaincre l'ennemi de la patrie,
il faut de l'audace et puis de l'audace
et encore de l'audace.

Było to prawdziwą fatalnością powstania listopadowego, że naród polski posiadając w owym momencie zasoby materyalne, jakimi nigdy ani przedtem ani potem w walkach porozbiorowych o niepodległość nie rozporządzał, nie miał człowieka, któryby umiał należycie je wyzyskać i poprowadzić Polskę do zwycięstwa. Nigdy tak trafnie nie okazały się słowa Napoleona: na wojnie nie potrzeba ludzi ale człowieka. Brak człowieka ujawnił się jaskrawo zarówno na polu militarnym jak politycznym. A już okropne szczytowanie losu sprawiło, że takie zbawcze osobistości o niezwykłym talencie i charakterze były, tylko że nie umiano ich znaleźć, względnie postawić na kierującym stanowisku. I tak nikt nie domyślał się nawet w skromnym podpułkowniku Bemie prawdziwego geniusza wojennego, ani nawet po świetnym czynie pod Ostrołką, przez który ocalił armię polską od zagłady, nikomu nie przyszło do głowy powierzyć mu uratowanie sprawy, która wtedy mogła jeszcze być uratowana. I trzeba było, żeby największy wódz, jakiego Polska porozbiorowa wydała, w obcej, węgierskiej służbie objawił w całym blasku swe niezrównane zdolności. Zaś na wyżyny przeraźliwej tragiki, indywidualnej i ogólnonarodowej zarazem, wznosi się los innego wielkiego ducha: Maurycyego Mochnackiego. Już przed powstaniem nikt nie mógł odmówić Mochnackiemu talentu nieprzeciętnej miary, atoli charakter jego budził — niestety słusznie — nieufność. Na jego przeszłości ciążyły fatalne plamy: upadek moralny w czasie więzienia u Karmelitów na Lesznie (1823/4), posunięty aż do formalnego aktu zaprzaństwa, jakim był jego elaborat w sprawie wychowania publicznego w Polsce, późniejsze współpracownictwo w biurze cenzury u renegata i obskuranta Szaniawskiego, wina tem cięższa, że nie spowodowana przez przymus zewnętrzny. I gdy potem Mochnacki uczynił wszystko, ażeby zmazać grzechy młodości, oddając w służbę ojczyzny zdrowie, życie, całego swego płomiennego ducha, było już zapóźno. Zaufania rodaków nie zdobył, nie mógł zająć kierowniczego stanowiska, musiał bezsilny patrzeć, jak powstanie narodowe wskutek własnych błędów staczało się ku zgubie. Jego namiętne przestrogi i zaknięcia pozostały głosem wołającego na puszczy. W tem leży najgłębszy tragizm człowieka i narodu.

Ze zdumiewającą przenikliwością Mochnacki dojrzał zarodki przyszłej klęski w łonie samego spisku podchorążych. Odrazu rozpoznał kapitalny błąd, choć wyniki z najszlachetniejszych pobudek kryształowej duszy Wysockiego: wyrzeczenie się steru rewolucji ze strony jej sprawców. Taka absolutna bezinteresowność była niewątpliwie pięknym aktem moralnym, praktycznie atoli musiała zwichnąć odrazu cały bieg powstania, bo

oddawała jego kierunek w ręce ludzi, którzy mimo szczerzego patryotyzmu i dawniejszych zasług nie posiadali elementarnego warunku do tego, mianowicie wiary w zwycięstwo bronionej przez siebie sprawy. Ludzie, których dziełem była noc listopadowa, mieli nie tylko prawo ale i obowiązek wziąć na siebie odpowiedzialność za dalsze jej konsekwencje. Jeżeli zaś nie chcieli tego uczynić, jeśli nie czuli w sobie dość siły i zdolności, by poprowadzić naród do walki przez siebie wszczętej, wówczas nie należało jej wogóle podejmować. Argumenty przeciwnie nie wytrzymują krytyki. Jeżeli Wysocki wobec Mochnackiego powoływał się na to, że rząd złożony z młodych oficerów i literatów nie zdoła narzucić swej powagi społeczeństwu ni pociągnąć narodu całego do powstania, to przeczyły temu liczne fakty, choćby z niedawnej Wielkiej Rewolucji oraz powstań hiszpańskich, greckich i włoskich. Sprzysiężeni mieliby walny tytuł do objęcia władzy, wyzwolenicy czyni Nocy listopadowej. Kto jednak nie znajduje aurytetu w duszy własnej, ten szuka go z konieczności u innych. Mochnacki go posiadał ale nie był w stanie narzucić narodowi a nawet swym najbliższym przyjaciołom politycznym. Dlatego zachowywał się względem przedsięwzięcia Wysockiego z największym pesymizmem i nie wziął żadnego udziału w przygotowaniach do rewolucji. Skoro jednak biegu wypadków nie można było odwrócić, stanął jak żołnierz do apelu i wieczorem 29 listopada był jednym z cywilnych, którzy wzywali na Starem Mieście lud do broni. Pomimo wszelkich błędów popełnionych na samym wstępie ruch odniósł nadspodziewany sukces dzięki niebywałemu niedołęstwu ze strony przeciwnej. Już 30 listopada panowanie rosyjskie w Polsce można było uważać za skończone. Atoli z obaleniem rządów W. Ks. Konstantego prawdziwe trudności dopiero się zaczęły. Największą z nich przedstawiało zachowanie się predestynowanych z urodzenia lub stanowiska przywódców narodu, którym spiskowcy dobrowolnie ustąpili miejsca. Ogromna ich większość żywiła względem akcji powstańczej głęboką nieufność, o ile jej wręcz nie potępiała. Niedowierzała siłom narodu i pragnęła skutkiem tego uniknięcia za każdą cenę walki zbrojnej. Co gorsza, oddawała się złudzeniom, że główne cele narodowe — zabezpieczenie konstytucji i przyłączenie Litwy — będzie można osiągnąć na drodze układów. I oto okoliczność najzgubniejsza; podczas gdy rewolucja pozostawała bez głowy, żywiły jej przeciwnie znalazły niepospolitego przywódcę w osobie ministra skarbu, księcia Lubckiego. Niebezpieczeństwo grożące z jego strony powstaniu Mochnacki odgadł odrazu i bezwzględnie walkę z nim uznał za swe najważniejsze zadanie. Wypadki dalsze okazały, że miał najzupełniejszą słuszność. Rzecz godna uwagi: młody entuzjasta-romantyk, który nigdy nie był w rdzennej Rosji, lepiej rozumiał jej psychikę i jej najgłębsze instynkty, trafniej ocenił jej racyę stanu

i teje typowego przedstawiciela, Mikołaja I, niż wytrawny statysta, trzeźwy i chłodny rachmistrz Lubecki, który przez wiele lat przebywał w stolicy carskiego imperyum i poznał tam z bezpośredniej obserwacji wszystkie miarodajne sfery społeczeństwa rosyjskiego, pozostając w bliskich stosunkach z samym cesarzem. Gdy się studyje poglądy Lubeckiego po wybuchu powstania na stosunek Polski do Rosyi i jej władcy, zdumienie bierze, że człowiek tak bystry i rozumny mógł piastować podobne iluzje. Co myśleć o bajecznym argumencie księcia ministra, że Mikołaj I. nie może pragnąć wojny z Polakami, gdyż nie zechce puszczać sobie krwi z obydwóch rąk. Wszak Lubecki wiedział, że ten bezwzględny autokrata gotował się z powodu Rewolucyi lipcowej rozpocząć morderczą walkę nie, jak w wypadku powstania listopadowego, o najżywoźniejsze interesy państwowe Rosyi, lecz dla samej doktryny legitymistycznej. Wszelako dla ministra skarbu unia polsko-rosyjska była dogmatem a dogmat nie usposabia do zmysłu krytycznego względem siebie. Inaczej nie byłaby się zrodziła monstrualna fikcja wojny konstytucyjnego króla polskiego Mikołaja z tymże Mikołajem, samodzierną Wszzech-Rosyi. Sam Lubecki jako głęboko niepopularny w społeczeństwie nie byłby powstaniu tak groźny, gdyby nie znalazł sprzymierzeńca w Chłopickim, którego niesłychana wziętość służyła za tarczę jego polityce. Wprawdzie dumny dyktator traktował z góry Lubeckiego, ale w rzeczy samej ulegał zupełnie jego inspiracyom, tylko że wykonywał je w sposób jaknajnieudolniejszy i najszkodliwszy dla sprawy. Walka, którą Mochnacki podjął przeciw tym dwom ludziom, przeciw „teroryzmowi nazwisk historycznych“, zakończyła się przegraną; była to zarazem pierwsza przyczyna narodowej klęski. Perypetye tego fatalnego dramatu jednostki i narodu następowały po sobie z błyskawiczną szybkością. 3 grudnia rano udało się Mochnackiemu obalić Radę administracyjną; miejsce dla rządu rewolucyjnego zdawało się wolne. Lecz to było złudzenie. Rząd tymcza-

sowy, utworzony w miejsce Rady Administracyjnej, ożywiony był duchem Lubeckiego, lubo tenże formalnie nie był jego członkiem. Rozpoczął swe czynności od kroku wręcz samobójczego, wypuścił W. ks. Konstantego z wojskami rosyjskimi. Powstanie pozbawiało się nieocenionego zakładnika, Cesarzewicza i prawego dziedzica tronu choć odsuniętego od niego w sposób nieformalny przez Aleksandra I. Konstanty mógł być niezmiernie użyteczny nawet na wypadek rokowań z Mikołajem, cóż dopiero na wypadek wojny, zwłaszcza o ile chodziło o jej najbliższy przedmiot i teren, Litwę, która wszak podlegała władzy W. Księcia. Osoba tego ostatniego mogła mieć wpływ na samą Rosyę; przecie grudniowe powstanie petersburskie 1825 r. było podjęte pod hasłem praw Konstantego. To wszystko widział jasno Mochnacki i czynił rozpaczliwe wysiłki, ażeby przeszkodzić takiemu śmiertelnemu błędowi. Napróżno. Własne jego narzędzie, Klub Patryotyczny, zawiodło. Na posiedzeniu klubu wieczorem 3 grudnia podniosły się przeciw dotychczas zwycięskiemu trybunowi szable i pistolety, gdy ośmielił się napaść na bożyszcze narodu, Chłopickiego i jego zgubną taktykę. Wymknąwszy się ledwo z życiem Mochnacki nie daje jeszcze za wygraną, jest gotów chwycić się ostatecznych środków, uprzętnąć gwałtownie Lubeckiego i rozpaścić ogień rewolucyi, aby zatrzymać Konstantego i opanować Litwę. Znowu daremnie. Dzień 4 grudnia dopełnił jego klęski. Ostatnia jego nadzieja, podchorążowie odwracają się od niego; ścigany przez ślepy gniew rozjuszonego tłumu musi szukać dla ratowania życia schroniska u człowieka, którego przed chwilą chciał powiesić, u Lubeckiego. „Jak niebezpieczno jest, panie Mochnacki, tak wysoko latać“, temi słowy powitał tryumfujący statysta zwyciężonego przeciwnika, gdy mu z rycerskim gestem ofiarowywał swą opiekę. Niestety upadek Mochnackiego był punktem wyjścia dla katastrofy powstania i narodu.

Dr Tadeusz Wałek.

T A D E U S Z S Z A N T R O C H : M A R S Z .

*Jednem tempem miarowem w takt bagnetów brzęku,
z chrzęstem twardym ryszlunku idą krok za krokiem.
Z przed szeregów ich jakby pierzchnął w niemyim lęku
Gwar gościńców — tak idą w milczeniu głębokiem.*

*Długim węzłem zrównanych, jednakowych czwórek
są jakoby sunąca w dal przypiętywu falą,
co przez każdą dolinę, wawóz, czy pagórek
się przecisnie, wypłynię, lśniąca bagnetów stala.*

*Świat ich wita szeroki... wsie mijają, rzeki,
dnem i nocą idący, znojem pochyleni...
Kędyż oczy wypatrzą wreszcie kres daleki,
co zatrzyma ich choćby śmiercią w tej przestrzeni?*

*Tam... skąd głuchy dział łoskot się powietrzem szerzy
idą krokiem miarowym w takt — po laur żołnierzy.*

Na pozycji dnia 14/XI. 1915.



JULIUSZ KADEN: PO ODPRAWĘ.

A potem, myślę — spieszą dusze nas wszystkich w górę, jeszcze pełne walki i srogości, jeszcze pełne bólu i mrozu, jeszcze krwią i tokiem jej bolesnym przejęte. Tam w górze bramy się otwierają jedne i drugie, bramy najwyższych praw i przezysta droga najświatlejszego sądu. Tą drogą Równości Wiecznej w posród słodkiego kwilenia nieogarniętych czasów, wśród awa bożego rozbłysków idziemy, my żołnierze w podar-

nagle rotę ze strasznym krzykiem ataku — lecz u tych wrót krwawy atak rozpryska, jak kropla tęczy... Jawią się rzędy tyralierów, tak jak stały w okopie, lecz u tych wrót skłania się nagle ów rząd niczem kwiatów grzęda.

Albo idziemy zapóźnieni, w pojedynkę, włócząc krwawe szarpie po drogach gwiezdnych z połą płaszczu niby o szron, otartą o pył światła i zabłąkani, jak nasza śmierć bezwiedna.



Obóz II. p. I. Bryg. pod Konstantynowem.

Fot. Langier.

tych, obłoconych butach, w płaszczach zwalanych krwią..

Nie ustaje ani na chwilę Najwyższa Ordynacya, nie zamyka się brama ostatniego powrotu... Wciąż suną nasze twarze pożółkłe i pełno tu naszych przerażonych oczu, sinych ust i grzeszną ziemią oblepionych rąk.

A na przezystych kryształach doskonałości widnieją wszędzie krwawe ślady naszego znoju, sine piętna naszego trudu.

Idziemy cicho falą nieskończoną. Śmierć kształtem troski ogromnej lica nasze znaczy, a tam, u podstaw najwyższych żenie nas sądu Czas, jako garść wiórów, lub strzępów krwawych wir...

W bezdennej ciszy sfer nie słyhać nic, tylko szept spalających się wieków, kroki nasze ubogie, chrome i ten jęk senny a wielki, jak tchnienie wieczorów jesieni... Głęboki jęk ostatniej ziemskiej rozprawy.

Jawią się tu całe tłumy, tak jak zginęły: Wpadają

Zaś w posród tłumu żołnierzy, pod wszelakim godłem na ten urlop spieszących ostatni idzie drobnym krokiem z podobizną Piłsudskiego na czapce, a z harmonijką u pasa mały kłótlivy żołnierz szary, by do raportu stanąć przed Najwyższym Obywatelem Komentantem. Kartę-by chciał dostać prowiantową do nieba i żeby na niej wypisano jasno, który pluton, kompania, batalion, pułk i brygada.

Więc przepowiada sobie rubryki karty legitymacyjnej.

Żeby prędzej poszło, żeby go tu chętnie przyjęli przypomina, co tam w brzęku kul słytał od księdza Ciepichałła... Pijarzy starą mają markę we wojnach polskich... Wiedzą jak się należy i co i gdzie...

Matka Ojczyzna... My za Ojczyznę, która jest krajem naszym i domem... I jeszcze mówił Pijar, kapelan, że...

Któż to spamięta, szrapnele fyrkały nad rowem... Wychodził patrol bojowy z nożycami, pod druty.

Ledwo zdążyło uderzyć żołnierza płomienne spojrzenie księdza, a potem hajda w zboże... Bliżej i bliżej, wśród syku kul, bliżej i bliżej, nocą, z nożycami... Póki wśród drutów, jak jagnię w cierń wplątane, nie uwiązł...

Kapelan mówił — Pijarzy dobrą mają markę: — Bóg kocha patriotów...

Idziemy cicho falą nieskończoną, a tam u podstaw najwyższych żenie nas sądu Czas, jako garść wiórów...

Jest w pośród nas głucha obojętność ludzi smutnych i rzewnych, jest łatwa zgoda ludzi, co się z garstką chwil ziemskich rozstali jak z kupką rozwianych płatków róży... Jest własnej doli niezrozumienie, lub szarej doli duma, — jest dziecinny żal za domem, matką, ojcem.

Najskrytszy żal nieletniego żołnierza...

Ojczyzna już wzięła, co miała wziąć, krew się czerwieni jeszcze na łące... Bóg teraz może łaskawie przenieść gdzie wyżej i na świętej zatrzyma kwaterze, lecz kto powróci rodzicielskiego domu ciepło?...

Wśród trzasku walki, pożarów i ataku na rozłupanym progu chałupy, o to się skarżył ostatni raz księdzu Żytkiewiczowi... A ksiądz Żytkiewicz, jakby to było jeszcze w szkole, znużoną głowę żołnierza na ręce brał i ten młody, ziemski płacz rozganiał cichym słowem. Ręką błogosławiącą wyglądał zmarszczki młodocianego żalu, aby dusza stanęła na sądzie w strojach tego uśmiechu i spokoju, z jakim młody kapelan na pomoc spieszy tam, skąd wracamy cicho...

Skąd wracamy falą nieskończoną, skąd nas walczących sądu Czas do schodów najwyższych żenie, jako garść wiórów, jako ziemskiego losu pogubione ziarno, jako dzikiego kwiatu pył rozwiany...



PRZEGLĄD.

AUTOLITOGRAFIE WYCZOŁKOWSKIEGO (w Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie).

Świeży opad śniegu. Zmierzch, godzina czwarta popołudniu. Pod niepokalanie czystym, świeżym całunem śnieżnym śpi Wawel Zygmunów. Śpią królewskie szczątki w podziemiach tych mrocznych murów przysypanych śniegiem zielonawym od zmierzchającego już dnia. Chmurne, śniegiem brzemienne niebo, ciemne mury prawego rzędu kaplic katedry wawelskiej od kaplicy Wazów poczawszy aż po Młodzianków — nawet po bramę wchodową do pałacu królewskiego. Wśród nich kaplica Zygmunowska — to „arcydzieło Odrodzenia, najdoskonalsze na północ od Alp“, połyskuje miejscami złotą łuską kopuły z pod śnieżnego pokrowca; po gżemsach ścian i latarni, po konturach orła Zygmunów czepia się białość śnieżna wąskimi listewkami. Cisza zimy i spokój grobu.

Nie mógł Wyczółkowski wybrać więcej nastrojowej chwili dla swojego pomysłu. Ów zielonawy, zmierzchowy ton zasadniczy wywołał zresztą prostym środkiem: subtelnie dobranym tonem papieru. Dostroił następnie doń ciemne wskutek kontrastu ze śniegiem barwy murów i nieba; dał rzecz przepyszną, autolitografię kolorową, z rzędu wawelskich bodaj że najlepszą.

Rysunek pokrywają plamy barwne widocznie, nieskładane dla zmniejszenia ilości kamieni litograficznych; stąd większa ilość użytych płyt kamiennych dla każdego tonu z osobna. Dziwna ta technika litografii i wogóle sztuk graficznych: daje coś pośredniego między oryginałem a reprodukcją. Oryginał niszczy się przy przenoszeniu na kamień; przytem osobiście ręką autora wykonywane w czasie odbijania poprawki, dobierania barw a nieraz i samo odbicie na prasie zapewnia litografii wartość oryginału, której znów pozbawia ją ważna okoliczność — możność powielania odbitek. Zwykle po odbiciu kilkunastu, czasem kilkudziesięciu sztuk niszczy się kamień umyślnie dla ograniczenia ilości egzemplarzy.

Do techniki litograficznej wogóle usposabia Wyczółkowskiego specjalny rodzaj talentu tego wytrawnego mistrza: chwywanie charakteru formy i to już nie tylko kształtu samego lecz i charakteru powierzchni. Stąd zamiłowanie do wyrażania się materiałem posłusznym, uległym woli twórczej artysty i oddającym natychmiast doskonale jego wrażenie — do techniki rysunkowej węglem, kredką litograficzną, pastelą. Pędzel szecelinowy w olejnym malarstwie, nawet mimo troskliwego „ostrzenia“ i układania włosa nie jest tak posłusznym odczuwaniu i charakteryzowaniu przedmiotu, natomiast kredka litogr. pysznie ulega ręce, czy gdy rysujemy bezpośrednio na szorstkiej płycie kamiennej, czy na ziarnistym papierze kredowym. Artyści wolą nawet wprost na kamieniu robić niż dopiero przenosić z papieru na kamień, ale niestety, ze względów technicznych, trudno z ciężkim kamieniem litograficznym wlec się — przypuśćmy na Wawel. Można przy akwafortcie rysować motyw z natury wprost na płycie miedzianej nie kalkując; przy litografii niestety rzadko można sobie na tę bezpośredniość pozwolić, ale zato wynagradza je ogromne bogactwo jakości linii, wychodzących z pod ręki odrazu w skończonej swej formie pod dyktatem uczucia i wrażliwości artysty. Nadto Wyczółkowskiemu potrzeba przestrzeni... litografia dać mu ją może prędzej niż akwaforta.

To co do techniki. A temat — serdeczny, rzewny, ukochany: szczątki naszej przeszłości chlubnej i bolesnej, dogorywające świadki minionej świetności i chwały; Wawel, stary Gdańsk, stara Warszawa. Nie trzeba być artystą, by je odczuć; wystarczy pietyzm dla przeszłości. A przedmiot, sam w sobie już w naturze cudny, przedstawiony jeszcze ręką artysty-mistrza daje podwójne rozkosze, bo i przez temat i przez wykonanie.

Drzewiej ginęły zabytki nasze przez brak opieki, a nieraz głuportą czynników władających, że wspomnę tylko zburzenie wieńca baszt i fortyfikacji Krakowa w początkach XIX w. (również głuportę — na szczęście dobroczyn-

nej w tym wypadku — zawdzięczamy ocalenie czterech pozostałych baszt Krakowa). Jakże cudne dziś byłyby nasze polskie Ateny! Akwarelom Jerzego Głogowskiego zawdzięczamy wyobrażenie o wyglądzie dawnych obwarowań. Zapewne i czas robi swoje; ale dziś z największą trwogą śledzimy dziki pochód wojny, ucieleśnienie — zdałoby się — niemożliwe upiornej fantazyi Boecklina; żadnej liłości nad tem co nam drogie, żadnego poszanowania świętości narodowych. Giną zabytki przeszłości, przepadają najświętsze nam relikwie.

To też z ulgą prawdziwą dowiedzieliśmy się o ocaleniu Warszawy i to „starej Warszawy“, co ubiegłej zimy dało temat Wyczółkowskiemu do wystawionych obecnie w Krak. Tow. Sztuk pięknych obrazów. Po tekach dawniejszych, po Wawelskiej i Gdańskiej, z kolei dał nam świeżo „Stara Warszawę“. Cykl siedmiu dużych, jednobarwnych, kredką lit. rysowanych widoków ze starego miasta — oczywiście z rynku przedewszystkiem. Wąskie, cztero- i pięciopiętrowe, o trzech oknach nieraz, stare domy o portalach godnych naszej ulicy Kanoniczej, z atykami i nadpiętrzami cofniętymi w głąb, z przytulonymi nieraz do nich wysokimi kominami. Odrzwia, choć tak pyszne jak w domu Baryczków (Nr 32), „Pod Murzynkiem“ (Nr 36), ks. Mazowieckich (Nr 31) i. t. d. mniej go interesują; woli górne rejony, symfonię dachów spiętrzonych (litogr. I.), zakątek stary z rozpadającymi się kominami i basztą (VI.), szczegóły atyck i zwłaszcza owych przesławnych, jedynych w swym rodzaju, cofniętych poddaszy (IV.). W Syrenie i w motywie VII. (z dachu z poza atyki ujętym) ciemny mocny plan pierwszy, doskonale dopomógł zgrupowaniu się świetlistego planu dalszego, kontrastem bardzo szczęśliwie użytym. A co za charakterystyka murów! To istna fantazyja muzyczna — tylko że przemawia mową kształtów. Poezyi tym starym murom odmówić niepodobna. Ma ją nietylko stary Gdańsk i Kraków, ma i barokowa Warszawa!

Ludwik Misky.

Z TEATRU.

W domu Słowackiego gość dawno niewidziany: żołnierz, ziemianin i poeta razem, którego dobroliwie marsowe oblęcze wyrzeźbiono przed tym gmachem poto zapewne, aby spłacić dług wdzięczności ryczałtem, a wierzy ciela dopuszczać do wnętrza jak najrzadziej. Spogląda ta głowa senatorska z pod brwi krzaczastych na świat z dniem każdym bardziej obcy, aż oto nagle, od roku z górą, wyrosłe zda się z podziemi pochody wojsk o polskich znakach mijają to popiersie na miarę napoleońską, rzekłby: wizya zmartwychwstała z przed wieku, kiedy z cesarzem przemierzał wszcz Europe, choć w tornistrze gwardyjskiego oficera miast buławy marszałkowskiej niósł mimo wiedzy indygenat poezyi i metrykę ojca polskiej komedyi. Sto właśnie lat upływa, jak przebolawszy abdykacyę boga wojny, wracał Fredro do Lwowa; złożył kolorowe rabaty adjutanta, wdział tabaczkowy surdut hreczkosieja i nabywszy u antykwarjusza komplet dzieł Moliera, wiozł ten skarb dyliżansem pocztowym do rodzinnej Beńkowej Wiszni, aby w przerwach między gospodarskimi rachunkami a wizytą w sąsiedztwie wpatrywać się w arcywzór i przymierzać doń twory własnej wyobraźni. Ale los obchodzi się, wiadomo, z wesółkami literatury bez pardonu. Nie to, że komedyi Fredry nie chciał grać dyrektor sceny lwowskiej, niejaki szczerze zapomniany Nepomucyn Kamiński: niepoczytalność estetyczna jest widno dziedzielnym przymilem administratorów parnasu nad Pełtwią; zresztą w latach następnych zdobyły na scenie warszawskiej przebojem sukces śmiechu. Ale literacki był im odmówiony.

Aeropag pseudoklasycyzy nie dopuszczał do wielkiego ołtarza Tow. Przyj. Nauk dyletanta, który w ogniu życia, miasto w poetyce Boileau'a uczył się swej sztuki, a młodociane Wertery, Manfredy czy Kainy tamtejszego chowu zgola niełaskawie spoglądały na autora, który w dobie nagminnego weltschmerzu i chronicznego poszukiwania za błękitnym kwiatkiem absolutu ośmielił się zachować szczerą pogodę serca i przebaczącą jowialność uśmiechu. Nie doczekał wyroku „Chimery“, który hieratycznie brzmiał, przypuszczam: „brzuchośmiejch zenitowy naiwnie bytostwierdzający“; nie ręczę zresztą, czy określenie to nie jest raczej własnością Bronisława Trentowskiego lub Stanisława Łacka. Ale to samo zapewne chciał powiedzieć ów akt oskarżenia, wypisany przez Goszczyńskiego, który trafił w samo serce autora „Ślubów panieńskich“ i w pełni rozkwitu zmusił do zmiłknienia.

W papierach pośmiertnych znaleziono piętnaście komedyi; komisya rozpoznawcza przeznaczyła je do reprezentacji kolejno w trzech latach. Ale trzecia seryja nie doszła skutku; wśród niej „Ostatnia wola“ po dziś dzień czekała na kształt swój sceniczny. Równocześnie historycy literatury poczęli zanudzać ludzi dyskusyą, jak określić stosunek tych utworów do arcydzieł lat trzydziestych. Względ na symetrię układu, który w naukowym rozdziale materiału decyduje czasem wbrew faktom, radził uznać dwa odrębne okresy twórczości, a podziałowi szła w pomoc metoda porównawcza, wiążąca zjawiska tutejsze z analogicznymi faktami na zachodzie: ma być tedy okres pierwszy komedyą typu molierowskiego, drugi wytworem powolnego pewno, niemniej trwałego wpływu realistycznej sceny Scribe'a, Dumasa czy Augiera. Znaczyłoby to, że dawne ogólnie- czy ogólnikowo-ludzkie typy, osnute na dominancie jednego rysu, ustępowały pola charakterom indywidualnym, nieudolny schemat akcji wypierała misterna płatanina intrygi, a monotonie aleksandrynu prozaiczny dyalog o cechach swoistych.

W wywodzie tym tkwi ledwo szczypta prawdy. Zdaje się mu przytakiwać wprawdzie ów znany wykład Ludmira (w „Panu Jowialskim“) o końcu komedyi Moliera i podwójnym charakterze współczesnego człowieka, ale przekonanie to zostało u Fredry na wierzchu świadomości, a nałóg i przymus tworzenia nawracał w dawne, rzekomo porzuczone tory. Słuchacz, obserwujący losy „ostatniej woli“ ś. p. generała dywizyi imci Franciszka Zielskiego, poznaje rychło figury dobrze znajome i sprawy wielokrotnie powtórzone. Pan Serafin Zielski od pierwszego słowa chlubi się dostojną parantelą z praszczurem hipokrytów wszystkich scen tego świata, mr. Tartufe'm; p. Eufrozyna bez ceremonii zdradza rodowód; w linii prostej wiodący do prababki uwiedłych lafirynd, Podstoliny, niedoszlęj oblubienicy Cześnika; para amantów: nieuleczalnie szlachetna sensatka i podbijający ją nieodpartym czarem uniformu porucznik, powiększając galeryę przeraźliwie doskonałych kochanków, którzy wbrew sprzysiężeniom losu na końcu muszą mieć racyę; nawet ów podstarzały rycerz turfu i zielonego stolika, miłośnik prawdy, więc enfant terrible rodziny, lekkoduch, heroicznie dźwigający konsekwencye młodzieńcy nietyłe górnej, co chmurnej od zobowiązań wekslowych, jest naprawdę tylko Guciem, który w nawałe zadań pilniejszych nie zdążył się ożenić, a może tylko Alfredem, co z nudów zakładał się w klubie, że ożeni się z „pierwszą lepszą“, spotkaną w parku; na starość zostałyby pewno Radostem, gdyby nie zaskoczyło go drenowanie gruntów i kolej czerniowiecka, przewrotowe wynalazki z połowy wieku, które zmąciły pogodny bieg starokawalerstwa i sposępnily mu światopogląd. Jest zresztą ulubieńcem autora; w jego zastępstwie głosi cierpkie przypowieści o sro-

ce-złodzieju, którą trza tępić, „by nie psuła ludziom rze-
miosa“, i tę drugą: o milionie, który z koncesją linii ko-
lejowej „wpadnie jak gruszka, w kieszeń — dla dobra
ojczyzny“. Jedyne to aluzyje do bieżących stosunków Ga-
licyi, które poeta, dwukrotnie wybierany deputat Stanów,
a po r. 1846 autor słynnego memoriału znał z blizka
i ująłby może w mocne kontrasty komedyi politycznej,
gdyby w próbie kształtowania nie rozpierzchały mu się
w zużytych ogólnikach charakterystyki, intrygi i dykcji.
Na dobitek zblaknął dawny dowcip słowa a komedyowy
uśmiech pobłażania zwarzył się w rosnącym zniechęceniu
starości, próżno szukającej zgody z nowym układem sto-
sunków. Szyd ostry i gorzki w posmaku wybliska raz
po raz w spojrzeniach poety, a kiedy ostrze to mierzy
w obłudę rodzinną, obnaża więc rozkład instytucji, nad
wszystkie inne umiłowanej sercu starca, całość zostawia
wrażenie w sumie raczej melancholijne. Rodzina, czyli śro-
dowisko, rasa i moment dziejowy razem, stanowią się za lat
kilkanaście w dramacie naturalistycznym tem, czem było
w starożytnym przeznaczenie: kształtować będzie człowieka.
Nie zgrzeszę więc przesadą, jeśli w tej pośmiertnej
komedyi Fredry o toku i kroju zgoła staroświeckim doj-
rzę przeciw jakoby dalekie przeczucie tragicznych splotów,
w których uwięźnię kiedys bez ratunku krzyk życia szalo-
nej Julki, zadusi się cud młodości dzieci Waniuszyna,
rozegrają daremnie szukające „święta pojednania“ fami-
lijne katastrofy Hauptmanna. W tem znaczeniu stoi utwór
Fredry na rozdrożu przyszłości; tkwią w nim w starych
formach skryte, te same co w „Wychowance“, w stanie
niedorozwoju zatrzymane możliwości satyry społecznej, tak

jak w społecznym „Wielkim człowieku do małych intere-
sów“ lub „Rewolwerze“, trącającym lekliwie o system po-
licyjnych rządów Bacha, zmarniały załączki komedyi poli-
tycznej.

Jakkolwiek bądź uważam wystawienie „Ostatniej woli“
za wybór trafny; jest aktem pietyzmu wobec pisarza, któ-
rego cała twórczość winna przejść przez deski tej sceny,
powtóre po aktorsku rzecz sądząc, jest próbą stylu, któ-
rego pogotowie wchodzi w żelazny kapitał każdorazowego
zespołu. Przedstawienie dowiodło, że tradycyjne głędzenie
krytykokataryniarzy na upadek stylu fredrowskiego, po
Wojnowskiej, Rapackim, Sobiesławie i Solskim idącego ja-
koby w niepamięć, jest komunałem, któremu urąga talent
młodszej generacji aktorskiej. P. Czaplńska miała w ru-
baszności grandezę damy, w karykaturze rys godności,
słowem w przesadzie umiar, w który trafia nieomylna tylko
intuicyja talentu; p. Stanisławski z gracyą nieznużoną ob-
nosił nobliwe maniere, przykładną napoleonkę i poprawny
garnitur szpakowatego kpiarza i viveura. P. Mielewski wy-
mokłą maską śledziennika, lisim chodem i seraficznie bła-
galną tonacyą wytrzymywał starannie do końca niełatwą
linię pomyslowej kreacji. P. Grabowski wreszcie złożył w roli
porucznika tyle dowodów kawalerskiej fantazyi, wymu-
sztrowanej arbitralności sądu i sprawnej gibkości ruchów,
że dorobek ten wypada zlecić pilnej uwadze komisji asen-
terunkowych. Z epizodu pachciarza dobył dużo charakteru
p. Jednowski, którego ręka czuwała szczęśliwie nad kom-
pozycyą całości.

Tadeusz Świątek.



Karabiny maszynowe.

Fot. Warcholif.